



Jak to było, gdy Profesor Średniawa nauczał na UJ

Zofia Gołąb-Meyer

Są profesorowie, którzy swoją oryginalną osobowością niesłychanie ubarwiają studia. Postacie takie nieraz nabierają jeszcze dodatkowego kolorytu w opowiadaniach i we wspomnieniach. Anegdoty wypełniają spotkania absolwentów po latach. Do tego typu osób niewątpliwie należy profesor Bronisław Średniawa. Studenci wspominają, jak to przy spotkaniu z Profesorem ulegali paraliżującemu strachowi, nasłuchawszy się uprzednio straszliwych historii. Profesor był wielkim obrońcą ciszy i niejeden z nas wysłuchiwał reprimendy wypowiedzianej niejako szeptem, lecz dosadnie.

Studentów, jak to studentów, często siedemnastolatków, trzymały się głupie pomysły np. by sobie potoczyć po kamiennej posadzce (jeszcze na Gołębiej) ogromny miedziany walec! Proszę sobie wyobrazić ten metaliczny łoskot, jaki przy tym powstawał. Tego Profesorowi było za wiele!

Stukot piłeczki pingpongowej spowodował, iż ping pong poszedł w niebyt, by po wielu latach na Reymonta odżyć w przyziomiu.

Matematycy na V piętrze musieli obić filcem swoje krzesła. Specjalnie izolowany przedpokój miał chronić Profesora przed hałasem z korytarza. Nieskutecznie! Profesor Henryk Arodź wspomina, jak to kiedyś z grupą studentów zaśmiewali się zarażeni rechem zabawki-głupawki przyniesionej przez Marka Błęszyńskiego. Profesor wypadł z gabinetu, potoczył srogim wzrokiem dokoła, studenci zastygli w bezruchu, a Marek stał ze schowaną za plecami i niewyłączoną zabawką. Rechet dalej wypełniał korytarz. Profesor skonsternowany na chwilę zamarł, by po chwili też się roześmiać. Jednak to nie tylko hałasy irytowały Profesora. Dźwięki muzyki też mu nie były miłe. Na końcu zachodniego skrzydła IV piętra była II pracownia. To z niej czasami dochodziła muzyczka. Redaktor *Fotonu*, profesor Jerzy Karczmarczuk wspomina:

„Jak wiecie, druga pracownia mieściła się na czwartym piętrze i czasami zdarzało nam się, gdy szły jakieś dłuższe eksperymenty, grać na fujarkach w korytarzu, gdzie akustyka była znakomita. Profesor Średniawa urządził dwa czy trzy razy naloty, żeby wykryć sprawców. Ale myśmy byli czujni, a nikomu z asystentów nie przyszło do głowy, żeby donosić...

Raz byłem świadkiem rozmowy Profesora Średniawy z panem Kornalewskim, opodał pokoju, w którym mieściła się aparatura próżniowa (pompa dyfuzyjna i mostek do pomiaru ciśnienia poprzez oporność/straty termiczne).

Prof. Średniawa: „Mówię panu, że to gdzieś stąd!”

Kornalewski: „Tu jest urządzenie próżniowe, z dużą pompą, panie profesore, ona robi rzeczywiście sporo hałasu.”

Średniawa wzrusza ramiona swoim charakterystycznym gestem i odchodzi burcząc: „tak, i będzie mi pan wmawiał, że to ta próżnia tak piszczy te melodyjki!!”

Osobiście rozmijałam się z Profesorem na studiach, za to później dostałam się pod Jego skrzydła jako doktorantka prowadząca ćwiczenia z kwantów do Jego wykładów. Profesor miał w zwyczaju wpadać sobie zniecka na zajęcia.

Błady strach był tak obezwładniający, iż nawet studenci, którzy byli przygotowani i znali odpowiedź na pytania zadawane przez Profesora, zapominali języka w gębie. Takim nieszczęśnikom Profesor nie szczędził ostrych słów.

Solidaryzowałam się z „moimi” studentami, pocieszałam co nieco po wyjściu Profesora, zwłaszcza, że znałam ich dobrze i wiedziałam, że dużo umieją. Pracowali solidnie. Tygodniowa dawka zadań była duża, myślę teraz, że nieraz zbyt duża. Profesor był jednak innego zdania i czasami dostarczał na kartkach spis zagadnień do przerobienia. To były już drugie kwanty, przerabialiśmy metody przybliżone i nikt się nie obijał. Materiał dostarczany na kartkach przez Profesora wymagał poświęcenia się chyba wyłącznie kwantom!

Kiedyś po latach, gdy Profesor już zaczął raczej przypominać łagodnego baranka i uważał asystentów za zbyt ostrych, wyciągnęłam jakąś starą kartkę z zadaniami i delikatnie przypomniałam Profesorowi, jaki to sam był kiedyś wymagający. Nie wiem, czy uwierzył. Profesor chyba nie zdawał sobie sprawy, iż dla wielu był istnym postrachem. W istocie traktował nauczanie, jako ważną misję, której był bardzo oddany. Jak trzeba było (choroba), to egzaminował studentów w domu, o czym przypomniał Profesor Andrzej Warczak. W wypadku choroby studentki nie wahał się pożyczyć jej swoich notatek, o czym z kolei przypomniał profesor Jerzy Blicharski.

Profesor wykładał kwanty na zmianę z profesorem Rayskim. Tak więc można spokojnie założyć, iż połowa starszej populacji fizyków krakowskich jest przez Niego, przynajmniej jeśli chodzi o mechanikę kwantową, wykształcona. Jakoś wszystkim trochę strachu i duże wymagania wyszły na zdrowie.